

ROZDZIAŁ VI

Flossenbürg, Kommando Leitmeritz

A podróż nasza trwała i trwała... Wszystkie obozy były przepełnione i nie chciały, i nie mogły już więcej przyjąć... Byliśmy w różnych miejscach... Byliśmy również koło Hanoweru i Bergen-Belsen... Ale i te obozy odmówiły przyjęcia. Jechaliśmy do następnego... Oczekiwanie na bocznicy i znów odmowa... W końcu, po 4–5 dniach, transport zatrzymano w jakimś małym miasteczku i tam rozpoczęto wyładunek... Jak się później okazało było to Leitmeritz¹, jedno z komand obozu koncentracyjnego Flossenbürg².

Niestety, na miejsce dotarła tylko mniej więcej połowa więźniów załadowanych do wagonów w Gross-Rosen... Pamiętam, że gdzieś koło Erfurtu staliśmy na bocznicy i wyrzuciliśmy tam osoby, które już nie żyły... Z naszego wagonu było to około 20–30 osób. Co się później z nimi stało, tego już nie wiem... Całość naszego transportu została podzielona na dwie części. My poszliśmy do Leitmeritz, druga część została skierowana do innego obozu, ale nie znam ich dalszego losu.

¹ Litomierzyce, Litomeřice, miasto w Czechach, w kraju północnoczeskim, przy ujściu Ohrzy do Łaby; 27 tys. mieszkańców (1989).

² W maju 1938 roku Niemcy założyli w Bawarii, w pobliżu granicy z Czechosłowacją, obóz koncentracyjny Flossenbürg. Został założony obok kamieniołomów granitu (*Fred und Steinwerke GmbH*), w których niewolniczo wykorzystywano więźniów. Początkowo wybudowano tutaj 16 drewnianych baraków dla więźniów, obok których znajdował się plac egzekucji i krematorium. Pierwszymi więźniami byli niemieccy opozycjoniści i kryminaliści. Po wybuchu II wojny światowej wzrosła liczba Polaków, a później jeńców radzieckich. Obóz był stopniowo rozbudowywany. Posiadał około 70 podobozów, które odegrały ważną rolę w niemieckim przemyśle wojennym. Więźniowie pracowali dla większości wielkich niemieckich koncernów, wspierających wysiłek wojenny Trzeciej Rzeszy. W kwietniu 1945 roku dowództwo obozu zarządziło ewakuację. W „marszu śmierci” pomaszerowało 22 tys. więźniów, z których w drodze zmarło około 7 tys. Celem był obóz koncentracyjny Dachau. 23 kwietnia 1945 roku obóz został wyzwolony przez wojska amerykańskie. W obozie znajdowało się wówczas 1600 więźniów. Liczbę więźniów Flossenbürga szacuje się na 96 000 osób, z czego około 30 tys. w nim zginęło (spotyka się dane o 73 tysiącach ofiar).

Procedura rozładowania transportu niczym nie różniła się od znanych mi dotychczas... Esesmani z psami otoczyli nas i tych, co mogli jeszcze iść ustawili w kolumnę po pięciu... Ci, którzy nie mogli sami wstać i wyjść z wagonu, pozostali w nim... Co się z nimi stało, trudno mi powiedzieć... W późniejszym okresie słyszałem, że przewieziono ich do obozu, wprost do krematorium... Na pewno niektórzy z nich dawali jeszcze oznaki życia, ale byli za słabi, by się poruszać... Dlatego na pół żywych zabrano do krematorium...

Ceremoniał przyjęcia do obozu był bardzo podobny do stosowanego w Gross-Rosen... Ustawiono nas od razu przed *Schreibstuba*... Czekanie, czekanie... Wreszcie sprawdzenie ewidencji, numerów, nazwisk i nadanie nowych numerów, a także skierowanie do dezynfekcji w łaźni... Ja otrzymałem tam nowy numer – 87 638³.

W łaźni była woda podawana na przemian, raz zimna, raz gorąca... Jak wykąpaliliśmy się, poddano nas szczegółowej rewizji i można było ubierać się z powrotem w te same ubrania, w których odbyliśmy tę makabryczną podróż... I niby wszystko w porządku, przecież byliśmy już w oznakowanych ubraniach więziennych, więc nie trzeba było dokonywać „przemundurowania”. Był tylko mały problem, przed pójściem do kąpieli wszystkie ubrania złożone były na jedną wielką stertę... Sądziłyśmy, że zwyczajem Gross-Rosen otrzymamy jakieś ciuchy, chociaż po dezynfekcji... O znalezieniu swojego ubrania nie było nawet co marzyć... Ubieraliśmy się i czekaliśmy... Czekaliśmy bardzo długo, bo prawdę powiedziawszy, nie było gdzie nas położyć. Wszędzie było pełno więźniów... Dało się zauważyć, że w tej administracji więziennej był bardzo duży chaos i nieład... Pogubili się wszyscy... To fakt, że prócz nas, do tego obozu przyjechały też transporty z innych obozów... Mogli, wzorem Bergen-Belsen, po prostu nie przyjąć, ale oni przyjmowali...

Wreszcie idziemy na *Block*... Ten nasz nowy *Block*, to nic innego, jak jakaś stara stajnia, tylko „odpowiednio” przystosowana... Piętrowe prycze, jedna przy drugiej. Do tego baraku „zapakowano” około 600–800 więźniów... Nie ma nawet mowy, by mieć swoje łóżko... Każdy siada i kładzie się tam, gdzie akurat w danym momencie jest wolne... Tłok i ścisk niewyobrażalny... Łatwo się domyślić, co się działo rano, gdy ta masa ludzi chciała się załatwić i umyć...

Po dwóch dniach wewnętrznego „docierania”, przydzielono nas do różnych komand pracy. Ja zostałem przydzielony, ze względu na znajomość języka niemieckiego, do komanda *Dachdecker* jako tłumacz. Zadaniem komanda była naprawa rynien i dachów. To komando już istniało, ja zostałem tam przydzielony jako nowy więzień... Nie było to zbyt duże komando, 6–8 osób, w zależności od liczby napraw lub uszkodzeń dachów. Z racji pracy

³ Patrz zał. nr 11 i 12 – Poświadczenie PCK o przyjęciu na ewidencję w Leitmeritz i nadanie numeru 87 638.

chodziliśmy po całym obozie, a także mogliśmy wychodzić poza obóz, gdzie była *Postenkette*, a nawet i dalej...

Nie mogliśmy tylko zbliżyć się do wejścia do podziemnej fabryki broni. Tam już obowiązywały specjalne procedury, no i tam nie trzeba było naprawiać dachu. Mówiono, że były tam produkowane części do V-1 i V-2... Niestety, chociaż taka fabryka pod ziemią bardzo mnie intrygowała, to jednak w niej nie byłem... Po prostu, nasze komando nie miało tam wstępu. Czasami wchodziliśmy też na teren koszar SS, jeżeli były tam konieczne jakieś naprawy. Dość szybko poznałem rozmieszczenie całego obozu, a także słabe strony w jego zabezpieczeniach zewnętrznych...

Po jakimś czasie okazało się, że w tym naszym wielkim *Blocku* znajdują się jeszcze dwaj dobrzy moi znajomi z Gross-Rosen i Wielkopolski, a także Rosjanin, niejaki Sasza Wdowiczenko. Ci dwaj, to Antoś Frąckowiak, o którym wspominałem już wcześniej, i dawny blokowy Witold Mazurkiewicz.

Postanowiliśmy trzymać się razem i sobie nawzajem pomagać... W bardzo krótkim czasie nasze zobowiązanie zostało wystawione na próbę... Okazało się, że Antoś zachorował na tyfus i wymagał dużo opieki i troski, tym bardziej, że w tym okresie na jakąś opiekę lekarską w ogóle nie można było liczyć. Nie było też zupełnie nawet podstawowych lekarstw. Służba medyczna praktycznie dla więźniów nie istniała. Efekt był łatwy do przewidzenia... Antoś podzielił los bardzo wielu więźniów...

Gdzieś po dwóch miesiącach rozeszła się wiadomość po obozie, że Niemcy mają zamiar „oczyścić” szeregi więźniów i pozbyć się elementu wrogiego i niepewnego... Na pierwszy „ogień” mają iść ci wszyscy, którzy mają wątpliwej jakości dowody tożsamości, a także ich dokumentacja w jakiś sposób budzi zastrzeżenia... Nie wiem, czy to była tylko plotka, czy faktycznie informacja wypuszczona niechcący przez funkcyjnych, ale miała cechy dużego prawdopodobieństwa... Tak właśnie postępowali Niemcy dotychczas, gdy chcieli rozładować przeludnienie w obozie lub pozbyć się elementu niebezpiecznego... „Podpadałem” pod wszystkie możliwości... Miałem niepewne dokumenty, nie wiadomo skąd się wzięły, mogłem być alianckim szpiegiem i najważniejsze – zbyt dużo wiedziałem... Zacząłem rozmyślać, co w tej sytuacji powinienem zrobić... Nie miałem wątpliwości, że jeżeli faktycznie będą robione jakieś czystki, to śmierć mnie nie ominie...

A może znów ucieczka...? A jeżeli ucieczka, to sam, czy z kimś...? Nie mogłem się zdecydować, ale czas poganiał... Doszedłem ostatecznie do wniosku, że muszę jeszcze raz zaryzykować i spróbować ucieczki... Tylko, czy sam...? Przypomniałem sobie moje przeżycia z Józiem w czasie naszej ucieczki z obozu w Sieburgu... Co by było, gdyby nie Józiu, tam, jak spadłem z tej skarpy...? W takich sytuacjach lepiej jest jednak mieć kogoś zaufanego obok siebie...

Początkowo myślałem o Witku Mazurkiewicz... Może z nim... Obserwowałem go, ale nie zdradzałem się ze swoimi planami. Prawda, był jeszcze ten Rosjanin Sasza Wdowiczenko, z którym ostatnio trochę się zżyłem... Oficer, bystry, wysportowany... Wydawał się człowiekiem godnym zaufania, a ponadto był Rosjaninem, znał język rosyjski, czyli stwarzał większe szanse przy przejściu przez front... Różnie może być... Przeżyłem obozy hitlerowskie, a mogę pójść na „rozwałkę” przez sojuszników...

Te ostatnie argumenty przesądziły o ostatecznej decyzji... Podejmując ucieczkę z tym sympatycznym i koleżeńskim człowiekiem powinienem mieć duże szanse, tylko, czy się zgodzi...

Wcale nie jest takie proste przeprowadzić poufną rozmowę, kiedy wszędzie pełno więźniów... Kiedy po kolacji weszliśmy do *Blocku*, „przykleiłem się” do Saszy i razem zaczęliśmy szukać jakiegoś wolnego miejsca na pryzach. Po chwili leżeliśmy na sąsiednich pryzach.

– Sasza... No i jak ci się tu podoba...? – ściszyłem głos, odwracając się do niego.

– A, ty co...? Zampolit... Czy inaczej... politruk, że o nastroje pytasz... Ha...?

– Słuchaj... Front już blisko... A ty wroga wspomagasz, pracując w tej fabryce...

– Nu... Da... Trafiłeś mnie... Gryzie mnie to, ale co możesz...

– Sasza, możemy... Po prostu, możemy uciec stąd... – powiedziałem ściśszając głos i mówiąc mu prawie do ucha.

– Co ty... – zamilkł, widocznie zastanawiając się nad sensem moich słów.

– Sasza... Ja znam dokładnie obóz i mam doświadczenie, już raz zresztą uciekłem z obozu... Ty jesteś Rosjaninem, więc nie będzie problemu, jak przekroczymy front... Twoi przyjaciele z armii powinni nam udzielić pomocy...

– No, z tym akurat może być różnie... – roześmiał się, i po chwili dodał:

– Nasi są przewrażliwieni na punkcie szpiegów, może bardziej niż ci tu...

– To, jak...? Idziesz...? – zapytałem stanowczo.

– Jasne... Idę...

W kilku słowach naszkicowałem mu plan przygotowań... Ponieważ Sasza pracował przy produkcji w podziemnej fabryce i nie miał możliwości rozeznania obozu, przyjąłem na siebie zadanie ustalenia najlepszego miejsca do opuszczenia obozu. Musiałem także zrobić jakieś małe zapasy żywności i, najważniejsze, skombinować gdzieś nożyce do przecinania drutu i coś do przesunięcia się nad drutami wysokiego napięcia...

Chodząc po różnych zakamarkach obozu zwróciłem uwagę, że na jego wschodnim krańcu realizowane są jakieś prace związane z doprowadzaniem do obozu linii energetycznej i wody. Pomiedzy budkami strażniczymi były wykonane wykopy, może gdzieś na około pół metra, w których miały być

umieszczone kable i rury. Poinformowałem Saszę o tym „odkryciu” i postanowiliśmy dyskretnie, ale bardziej dokładnie przyjrzeć się temu. Głównie chodziło o sposób ochrony tego miejsca przez strażników, jacy strażnicy i jak często się zmieniają, a nawet, jaką posiadają broń itp.

W rozpracowaniu tych spraw okazała się bardzo przydatna poprzednia funkcja Saszy i jego oficerskie doświadczenie. Już po pobieżnym rozpoznaniu doszliśmy do wniosku, że to miejsce nadaje się świetnie na naszą akcję... Chociaż, dużej niewiadomą był teren poza obozem...

Sasza coś słyszał, że tam jest rozmieszczony jakiś obóz Rumunów, pracowników cywilnych zatrudnionych w fabryce. Kto wie jak mogą się zachować, gdybyśmy przez przypadek gdzieś na nich trafili...

Najślabszym punktem naszego planu był strażnik... Sasza obserwując go zza narożnika baraku jakichś warsztatów, w pewnym momencie powiedział ostrym tonem:

– Przykre... Ale będziemy musieli coś z nim zrobić... Może nie być innego wyjścia...

– Czekaj... A może to nie jest Niemiec...?

– No i co z tego...? – odpowiedział pytaniem.

– Słyszałem, że teraz wykorzystują tu Ukraińców...

– No i co z tego...? – odpowiedział, drążąc temat.

– Zawsze z takim łatwiej...

– Może... Albo i nie łatwiej... Z takimi, którzy służą Niemcom, może być...

Nie dokończył zdania tylko intensywnie przyglądał się strażnikowi, chodzącemu między budkami.

– Wiesz co...? A ja to zaraz wyjaśnię... Bo wydaje mi się, że ty masz rację...

– Co chcesz zrobić...? – zapytałem, trochę zaniepokojony decyzją Saszy.

– To trzeba powoli i systematycznie...

– Wiem... Wiem, nie obawiaj się... Przejdę się tylko bliżej tego wartownika i zobaczę, jak zareaguje... Sam... Pójdę sam... Będzie się czuł bezpieczniej...

– No, jak uważasz...

Ukryty za rogiem baraku obserwowałem, jak Sasza zbliżał się do strażnika... W pewnym momencie strażnik zdjął broń i mierząc do Saszy coś krzyknął... Sasza zatrzymał się i przez chwilę toczyła się między nimi rozmowa, podczas której strażnik trzymał cały czas broń skierowaną w kierunku Saszy... W końcu Sasza wykonał regulaminowy „w tył zwrot” i zaczął iść w moim kierunku... Po chwili strażnik założył znów broń „na pas” i kontynuował swoją wędrówkę pomiędzy budkami...

Ciekaw byłem, jakie wrażenie ze spotkania wyniósł Sasza... Gdy tylko dotarł do mnie, nie czekając na pytania z mojej strony powiedział:

– Chodźmy stąd... Jest dobrze... To faktycznie Ukrainiec i chyba porządny facet...

– Porządny, ale trzymał cię na muszce...

– Nie szkodzi... Oni też się boją... – odpowiedział, wyraźnie zadowolony. – Znam tego strażnika, z widzenia... Dotychczas często miał służbę w pobliżu wejścia do fabryki...

– No i...

– Jestem z nim umówiony, ale właśnie tam, przy fabryce...

Po chwili dodał:

– Widocznie tam jest dla niego bezpieczniej...

– I tak od razu się zgodził...? – nie mogłem zrozumieć, dlaczego to tak poszło Saszy łatwo.

– Powiedziałem, że już od dawna chcę z nim porozmawiać, jak z krajanem... I, że mam pewną propozycję... Wtedy powiedział to, co ci już mówiłem...

– O... To świetna wiadomość...

W tym czasie już nie spaliśmy w dużym baraku razem ze wszystkimi, tylko bezpośrednio w naszym warsztacie. Mieliśmy tam tzw. *Packammerę* i tam spaliśmy... Mając na uwadze nasze przyszłe zamiary, zaproponowałem także Saszy, żeby przyszedł spać razem ze mną... Będzie łatwiej wyruszyć z jednego miejsca...

Sasza dogadał się bez problemu ze strażnikiem i uzgodnił interesujące nas szczegóły... Strażnik nie miał żadnych obiekcji w zakresie udzielenia nam „bezpiecznej” pomocy pod warunkiem, że to musi się mu opłacać. Rozmowę z Saszą zakończył stwierdzeniem:

– Mówisz, że jest was dwóch... Niech będzie... Macie czas tylko do jutra, bo jutro wieczorem mam znów służbę przy tych wykopach... Ale zapłata musi być jutro rano, jak będziesz szedł do pracy... Wieczorem, nie ma mowy już o żadnej rozmowie... Przyniesiesz... Dowiesz się, o której to może być...

Opowiadając mi o tym spotkaniu, Sasza był wyraźnie podenerwowany... Gdy skończył, przysunął się do mnie blisko i powiedział:

– I co teraz...?

– Teraz...? Wszystko idzie, jak po maśle... Mam już przygotowane i ukryte cęgi do cięcia drutu, dwie rurki, które trzeba będzie nałożyć na rączki cęgów, bo próbowałem ciąć taki drut i były z tym problemy... Mam też kawał deski 25x140, by można było po niej przesunąć się pod drutami wysokiego napięcia...

– No, to wszystko fajnie... – przerwał zniecierpliwiony Sasza. – Ale, co ze strażnikiem...? Jeżeli tej sprawy nie rozwiążemy jakoś, to i reszta nie ma sensu...

– To jest najmniejszy problem...

– Nie rozumiem...?

Nic nie mówiąc, odwróciłem się do Saszy plecami... Chwilę „pogrzebałem” w ukrytych zakamarkach mojej bluzy i odwracając się z powrotem do Saszy, trzymałem zaciśniętą pięść. Przysunąwszy się do niego blisko, powoli otworzyłem dłoń, na której leżał przepiękny pierścionek z oczkiem...

– Aż, „job jego mat'...” – wyrwało się Saszy. – A ty... Skąd masz coś takiego...?

– Podebrałem kiedyś mojemu przełożonemu... Miał tego tyle, że nawet się nie zorientował...

– W Gross-Rosen...?

– Jasne... To była własność pana Wernera Jakobi, mojego kapo...

– Własność...?

– W tym momencie...

– Rozumiem... No, to jesteśmy uratowani...

Obserwowaliśmy teren...

Po godzinie 22, gdy zauważyliśmy, że na posterunku jest już „nasz” strażnik, zbliżyliśmy się do wykopu z lewej strony budki strażniczej. Wał utworzony z ziemi wybranej z wykopu idealnie nas zasłaniał... Wiedzieliśmy, że w drugiej budce wieczorem też jest wartownik, którego miał zająć rozmowę „nasz” na czas przekraczania strefy. Schowani za wałem obserwowaliśmy teren przed nami... W pewnym momencie zauważyliśmy, że „nasz” wartownik idzie do sąsiada... Teraz... Wziąłem nożyce i zacząłem przecinać druty zasieków, uniemożliwiających dojście do wykopów. Po pierwszych ruchach złamała mi się jedna z rurek zwiększających nacisk... Pomyślałem, że to koniec, bo samymi cęgami nie przetniemy drutów... Sasza jednak nie chciał rezygnować z ucieczki...

– Co ty... – warknął ze złością. – Teraz nie ma odwrotu... Nie chcesz... To idę sam...

– Nie przejdziemy przez te zasieki... Daj sobie spokój...

– Dawaj... Dawaj te cęgi i puść mnie do przodu...

Zmieniliśmy się pozycjami. Teraz Sasza prowadził... A trzeba przyznać, że był to człowiek wysportowany i jeszcze w pełni sił. Zaczął ciąć samymi cęgami... Był na tyle silny, że udało się to zrobić skutecznie. Pod przeciętymi drutami, tym małym wykopem przeczołgaliśmy się na drugą stronę płotu. Teraz deska i już jesteśmy po drugiej stronie...

Gdy znaleźliśmy się poza obozem, zaczęliśmy uciekać w kierunku wschodnim. Zgodnie z przewidywaniami Saszy, natknęliśmy się na rumuńskich robotników cywilnych. Kilka zdań zamienionych z Saszą i mogliśmy iść dalej.

Nawet nie pytałem o czym rozmawiali, najważniejsze, że mogliśmy uciekać... Uciekać, jak najdalej od obozu... Tempo nadawał Sasza i muszę przyznać, że nie podejrzywałem go o taką kondycję. Uciekaliśmy, aż do świtu...

W końcu, prawie skrajnie wyczerpani, w szczególności, jeżeli chodzi o mnie, postanowiliśmy gdzieś spokojnie przeczekać dzień i nabrać sił do dalszej drogi. Ze znalezieniem pustej altany nie było większego problemu, gdyż w tym czasie już rozpoczęły się masowe ucieczki ludności cywilnej na zachód. Posilając się, opowiedziałem Saszy moje doświadczenia z poprzedniej ucieczki... Metoda nocnej jazdy składami towarowymi i odpoczynku w dzień przypadła Saszy do gustu. Postanowiliśmy wtedy, że właśnie tak będziemy wędrować...

Wieczorem bez większego problemu dostaliśmy się do pociągu, który praktycznie był pusty. Byliśmy przekonani, że jedziemy dokładnie na wschód. Cieszyliśmy się każdą godziną, bo to oznaczało, że jesteśmy coraz bliżej celu... Nawet nie zmartwiliśmy się bardzo, gdy nad ranem słyszeliśmy jakieś odgłosy wybuchów. Normalne, przecież zbliżamy się do linii frontu...

Nie mieliśmy żadnej orientacji, gdzie dokładnie jesteśmy... Ponieważ zaczynało świtać, postanowiliśmy na wszelki wypadek, znów przeczekać dzień w bezpiecznym miejscu... Jak się później okazało, nasz pociąg nie zmierzał na wschód, ale raczej bardziej na północ, czy też północny wschód. W ten sposób znaleźliśmy się na przedmieściach Drezna...

Wieczorem ruszyliśmy pieszo wyraźnie zmieniając kierunek na wschodni... Po niedługim czasie doszliśmy do dość dużej rzeki... Sasza stwierdził, że to jest najprawdopodobniej Łaba... Przejść mostem było raczej niebezpiecznie, a przeprawiać się przez nieznaną rzekę byłoby głupotą...

– Wiesz... Jest rzeka, to muszą być też gdzieś w pobliżu tory i most kolejowy... – zauważył słusznie.

– A ochrona...

– To może być problem... Ale im teraz wszędzie jest brak ludzi, to może...

– To może będzie, jak w Leitmeritz... – przerwałem, nawiązując do sytuacji umożliwiającej nam ucieczkę z obozu.

– A mamy jakieś inne wyjście...?

– Może... Ale spróbujmy...

Gdzieś po pół godzinie marszu przez nadrzeczne wertepy, zauważyliśmy znajomą konstrukcję... Był most i była zupełna cisza... Czyżby w okolicy zupełnie nie było nikogo... Weszliśmy na most kolejowy... Powoli zbliżaliśmy się do końca mostu... Wtem zza filaru konstrukcji mostu wyłonił się niespodziewanie strażnik niemiecki z bronią gotową do strzału...

– Stać... Ręce do góry...! – wrzasnął.

– I czemu krzyczysz... Czemu... – ze względu na znajomość języka przejąłem inicjatywę. – Chyba jesteś tu nowy...? Codziennie tu chodzimy i nigdy nie było tyle wrzasku...

– A kim wy jesteście...? – zapytał, ale już bez krzyku.

– Pracownicy cegielni...

– Cegielni...?

– Tak, cegielni... Jakies dwa kilometry stąd, za lasem, jest cegielnia... Tam pracujemy...

– Dokumenty proszę... – odezwał się, znów dość ostrym tonem.

– Nie ma sprawy... Proszę... – sięgając do kieszeni ubrania, zacząłem iść w kierunku strażnika.

Zauważyłem kątem oka, że Sasza wykonuje identyczne czynności jak ja i idzie tuż za mną... Wyciągnąłem rękę z kieszeni i machając nią, niby z dokumentami, powiedziałem:

– To coś nowego... Nikt nigdy nie sprawdzał nam tu dokumentów... – sięgnąłem jeszcze raz do kieszeni, będąc już zupełnie blisko wartownika. – Pewnie i „Kartę pracy” też będziesz chciał zobaczyć...

Zwrócony twarzą do mnie wartownik nawet nie zauważył, że Sasza zbliżył się do niego zbyt blisko... Reszta rozegrała się bardzo szybko... Okazało się, że Sasza w ręce trzymał nie dokumenty tylko nóż... Jednym zwinnym ruchem, muszę powiedzieć wytrenowanym ruchem, „przygarnął” do siebie wartownika, zasłonił mu usta, coś zgrzytnęło i zauważyłem, jak bezwładne ciało wartownika osuwa się nam pod nogi... Jeszcze krótki ruch nogą i ciało potoczyło się w dół, pod konstrukcję mostu... Odruchowo czekałem, kiedy rozlegnie się plusk wody, ale nic takiego nie nastąpiło... Widocznie podobne oczekiwania miał Sasza, bo odezwał się cicho:

– To już brzeg i przybrzeżne zarośla... – wychylił się, jakby chciał przeniknąć wzrokiem wieczorne ciemności. – Wiejmy... Mogą niedługo mieć zmianę...

– Jasne...

I zaczęliśmy wtedy uciekać, co sił w nogach, nadal oczywiście wzdłuż torów... Ile kilometrów tak uciekaliśmy, trudno mi dziś określić. Później już trochę wolniej, ale szliśmy, aż do samego świtu... Gdy zaczęło świtać, zaczęliśmy się rozglądać za miejscem do przeczekania dnia i odpoczynku po tak wyczerpującej nocy...

Podeszliśmy do małego miasteczka. Wszędzie był niesamowity chaos... Ludzie biegali we wszystkie strony... Niemcy przygotowywali się do ewakuacji, ładując swoje rzeczy na samochody. W pewnym momencie ze zdziwieniem zauważyłem, że naprzeciw nas idzie grupa ludzi z naszytymi literami „P”... Gdy podeszliśmy bliżej, odezwałem się do nich:

– Przepraszam, panowie... Jesteśmy uciekinierami spod Drezna, chcemy się jakoś dostać do Polski... Możecie coś nam poradzić...

– Spod Drezna...? – zapytał z niedowierzaniem w głosie jeden z nich.

– Tak... Byliśmy na przymusowych robotach...

– A, to co innego... I chcecie do Polski...? – roześmiał się. – Gdyby to było takie proste, to pierwsi byśmy skorzystali z takiej okazji.

– Są trudności...?

– Pewnie... Człowieku... Tu teraz taki chaos, dezorganizacja... Jednym słowem bałagan, jak jasna cholera... Niemcy się pakują i są nerwowi... Pchają się też tu ci, co uciekli ze wschodu... Jeden wielki „burdel”...

– To może byśmy chociaż gdzieś trochę mogli odpocząć...?

– A... I zjeść pewnie by się przydało, bo blado wyglądacie...

– Bylibyśmy wdzięczni...

Byli to bardzo porządni ludzie... Wzięli nas na barak, nakarmili i pozwolili umyć się i odpocząć... W sumie przesiedzieliśmy u nich dwa dni i nie chcąc narażać ich na jakieś niebezpieczeństwo poszliśmy dalej... Na dalszą podróż dali nam trochę żywności, a także udzielili nam wskazówek, w jakim kierunku i jak się poruszać, by nie wpaść „w łapy” Niemcom...